

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Władysław Łoziński

**OKO PROROKA
CZYLI
HANUSZ BYSTRY I JEHO
PRZYGODY**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

MÓJ OJCIEC WYJEŻDŻA DO TUREK

Było święto Trzech Królów. Ojciec mój ubrał się od święta, przywdział kopieniak podbity lisami, bo mróz był mocny, a nim się jeszcze matka zebrała, aby z nim pójść do kościoła, wziął z półki kredę święconą, wyszedł z izby na dwór i nad drzwiami kowanymi, na ocapie, wypisał ciężką ręką, bardzo dużymi a nie bardzo foremnymi literami:

K+M+H

1614

Owoż ten tu wypisany rok Zbawienia Pańskiego 1614 to jest najdawniejszy czas żywota mego, jaki zapamiętam. A miałem tego czasu rok szósty. Jako zaś potem się działo i co ze mną było i z rodzicami, i co Bóg dawał złego i dobrego, to mi to już tak w pamięci się chowa, jakoby w zamczystej skrzyni, gdzie wszystko bezpiecznie leży, że kiedy i po mnogich lecjach odewrzesz, wszystko znajdziesz, jako było. Jenó że to wszystko było jeszcze jakoby w samym oku, a nie w rozumie; aż dopiero, kiedy rozum z laty przyszedł, to zaczął czytać w pamięci jak w księdze, co już dawno drukowana była, nimeś ty czytać się nauczył.

Ta wieś, gdzie moi rodzice żyli i gdzie ja się rodził, nazywa się Podborze, a leży przy samym trakcie głównym, który wiedzie w rozmaite dalekie strony i kraje Bożego świata, boś nim jechał i do Węgier na Sambor, i do Wołoszy na Stryj, i do Krakowa na Felsztyn i Przemysł, a także do Lwowa i dalej, na Ukrainę albo do Turek nawet. Pisze się ta wieś na Ziemię Przemyską, a na ekonomię samborską; należy do królewszczyny i nie ma dziedzica, a siedział w niej za moich najmłodszych lat podstarość a raczej wiernik tylko pana wojewody Jerzego Mniszcha, a podstarościem, to go tylko zwano, bo tak chciał i kazał, wydając się z pychy za zacniejszą osobę, niżeli był po prawdzie.

Ojciec mój nie był poddanym chłopem, bo siedział na sołtystwie. Ale i sołtysem też nie był takim, jako bywają inni, bo ani ludzi nie sądził, ani czynszów i danin królewskich nie wybierał, ani na wojnę nie chadzał i pachołka w pole nie stawiał. Ale grunt ojca mego, półtora łana niespełna, to było kiedyś sołtystwo dawniejszymi czasy, a teraz już tylko wolnictwo, a ojciec wziął te grunta w macierzystym spadku i miał wolność na nich, tak jakby był szlachcicem, tylko do ekonomii samborskiej płacił czynszu i żyrowszczyny 20 złotych, a to na św. Marcin i na św. Wojciech po równej połowie. Gdyby bezpiecznie siedział na tym wolnictwie, byłoby mu dobrze, bo chleba ono dać mogło dostatek – ale cóż, kiedy mu przeczocono prawa posesji i ruszyć go z niego chciano koniecznie, jako się o tym później powie.

Gospodarstwem na roli to się mój ojciec nie bardzo parał, jeno matka, jako że go mało było w domu, bo był dostatkowym furmanem i kupieckim rozwoźnikiem, i co roku przez kilka miesięcy był w drodze. Wyuczył się wprawdzie mój ojciec ciesielskiego rzemiosła, ale że ciesielka nie dawała mu dosyć zarobku, a do furmaństwa go bardzo ciągnęło, tedy ciesielkę całe był zarzucił. Już dziad mój był furmanem solnym, jako to zowią u nas prasolem; bo tu wszędy około w samborskiej i drohobyckiej krainie żupa na żupie: i w Starej Soli, i w Lacku, i w Drohobyczu, i w Truskawcu, Modryczu, Stebniku i w Kotowie, a zewsząd kwotnicy wy-

syłają beczkami sól na końce świata, aż do Kijowa, na daleką Ukrainę, hen aż po Dzikie Pola, bo chleba zbytek, ale soli nic, choćby na zaproszenie oka.

Furmańskie rzemiosło przeszło tak z dziadka na mego ojca, tylko że ojciec nie woził już soli, ale wzięwszy nieco grosza po dziadku, zabrał się do furmanki kupieckiej. To był sowity zarobek, ale ciężki; rzemiosło zyskowne, ale niebezpieczne, a czasem i bardzo stratne, jeśli tego nieszczęście chciało. Boś jechał jak na wojnę i chyba to Bóg miłosierny wiedział, kiedy wrócisz i czy żyw i cały wrócisz, i w jakiej fortunie na swoim domowym progu staniesz. Wyjechać możesz pięknym kowanym wozem w cztery konie, opasany pełnym trzosem, a powrócić pieszo i boso, o proszonym chlebie, z gołym jeno biczyskiem w rękę za cały dorobek i rad tylko, żeś głowę przyniósł. Wszędy drogi niebezpieczne, wszędy siła opryszków i hultajów, łakomych na grosz kupiecki i bogaty towar; już jak do Wołoszy czy do Węgier z towarem jedziesz lub stamtąd wracasz, strachu i biedy najesz się często do syta, a cóż rzecz wtedy, kiedy droga wiedzie aż do Turek, w pogańskie strony, szlakiem tatarskim?

Owoż wiedzieć macie, że ojciec mój właśnie aż do Turek furmanił, a tak tedy w samą paszczę zbójcką. Miał ojciec mój u Ormian lwowskich wielką łaskę i zachowanie, bo był wierny, trzeźwy i śmiałego serca, a Ormianie wielkie handle prowadzą z tureckimi krajami, wywożą tam moc złota i kosztownego towaru, a stamtąd do Polski wracają z jeszcze większymi skarbami w bławatach, złotogłowiach, korzeniach zamorskich, a nierzadko i w perłach, koralach i kamieniach takich drogich, że i korona królewska by się ich nie powstydziała, a za jeden taki kamyk i pańskie dziedzictwo kupić można. Dwa razy mój ojciec był aż w Stambule samym, stolicy Turków, gdzie sam ich cesarz czyli sułtan siedzi, oba razy szczęśliwie i z dużym zarobkiem wrócił, ale zarzekał się, że już trzeci raz nie pojedzie. Tymczasem pojechał, bo musiał, a to przez to właśnie sołtystwo, z którego niecnolliwi ludzie wyścigać go chcieli.

Ojciec był prawowitym posesorem tego wolnictwa, bo było dziedziczne, ale że nie po męskiej głowie poszło na ojca, jeno po białogłowskiej, więc ów nasz podstarość podborecki, o którym już wspominałem, p. Bałczyński, koniecznie je chciał ojcu wydrzeć, jeśli się nie okupi. Na zamku ojca nigdy o to nie turbowano, byle czynsz w ekonomii samborskiej zapłacił, a sam pan wojewoda Mniszech jeszcze nieboszczykowi dziadkowi mawiał, jako może być całę bezpieczny o swoje posiadanie. Ale od czasu, kiedy pan wojewoda wydał córkę swoją za owego cara moskiewskiego Dymitra, co z państw swoich gołe życie unosząc o Sambor się był oparł, i wraz z nim do Moskwy z wojskami się wyprawił, aby go na carskim tronie osadzić, już na zamku inne rządy nastały. Po roku 1611 nastał p. starosta Daniłowicz, a jakoś w cztery lata znowu p. Samuel Koniecpolski – i od tego czasu p. Bałczyński coraz to ostrzej naścigał, ojca mojego nękał; rumacją groził, tak że ojciec i prosić się i opłacać musiał, a tylko pomocy Bożej i ludzkiej czekał.

Zdało się też, że mu ta pomoc przysła, i to potężna, bo owo kiedy Król Jegomość, panujący wtedy szczęśliwie w Polsce Zygmunt, w roku 1621 do Lwowa za wojskiem jechał, ojcu memu, że miał wóz duży dostatkowy i cztery konie rosłe i mocne, kazano z zamku stawić się w Gródku do podwód królewskich za opuszczeniem czynszu. Z niemałym strachem ojciec jechał, bo to był czas wielkiego ciągnięcia na wojnę turecką, bał się tedy bardzo, aby go z chudobą gdzieś aż do obozu nie wleczono albo do więzienia armat ze Lwowa nie wzięto. Ale kiedy musiał, tedy acz z płaczem pojechał. Tak się zdarzyło, że na bardzo złej drodze po wielkich dżdżach jesiennych, bo to było jakoś pod dobrą jesień, kolasa królewska za wsią Zalesie, niedaleko Janowa, ugrzęzła w trzęsawisku. Woźnica królewski siłą mocą chciał się wydobyć, śmignął batem zanadto; konne ogniste jako lwy, a było ich sześć w zaprzęgu, kiedy się nie zepną i nie wyskoczą jak szalone, tak owo jednej chwili zrobił się z tego wszystkiego jakoby tylko jeden kłęb poplątany i okrutna trzaskająca wierzganina, że aż woda z trzęsawiska bryznęła do góry jakby z sikawek; forysi pospadali z siodeł, lejce się porwały, orczyki potrzaskały, rzemienie poplątały, że ani weź, ani przystap. Kolasa królewska bardzo się prze-

chyliła; tylko patrzeć, kiedy się całe wywróci; sam Król Jegomość na szwankowanie zdrowia narażon.

Było przy królu dużo ludzi. dworzan, dragonii, szlachty, a wszystko to konno jechało; jak się tedy zwali gęstą kupą na ratunek, to jeszcze gorzej, bo ten chwyta za to, ten za owo, ten szarpie tędy, ten owędy, ten sobie krzyczy, a ten sobie – owo hałas, trzask, zamieszanie, że chyba siekierą się przerąbiesz do kolasy. Tak się zdarzyło, że wozy dworskie, co szły przed królem, odsadziły się były daleko naprzód, a z wozów skarbnych, co jechały z tyłu, ojcowski był najbliższy. Przybieżał tedy ojciec mój już z samej ciekawości; widzi, jako jeden z dragonów, co pozsiadali z koni, aby zaprzęg znowu przywrócić do ładu, padł jak nieżywy od kopyta, a drugi nieboraczek pod kołami jeno dysze; nie namyślając się zatem długo, zuchwałym sercem skacze ojciec między konie, podsadza się pod cug dyszlowy i nożem wielkim krakowskim, co go także tulichem zowią, rzeze postronki i rzemienie. Ledwo się z życiem wybiegał i bez szwanku ojciec mój z tej niebezpiecznej roboty – ale teraz to już z łatwością rozplątano konie. Kolasa została w miejscu, a konie, zhukane i znarowione, a który i skaleczony, rzuciły się strzałą w pole. Wysadził się naprzód ku wozom skarbnym jeden starszy dworzanin i woła:

– Masz tam który dobre konie?

Ojciec mój podbiegł do swojego woza i mówi:

– Mam, panie.

– Dawaj sam, a duchem!

Ojciec w mig wyprzągł swoje konie i kazano mu je założyć do kolasy królewskiej. Mówił potem ojciec matce, jako go strach wielki ogarnął, kiedy pomyślał, że a nuż nie wywlecze kolasy królewskiej z trzęsawiska, a tak i wstyd, a może i co gorszego go spotka. Poleciał się tylko Najśw. Pannie i św. Jerzemu, co jest niebieskim patronem furmanów, popatrzył tak miłosiernie na swoje szkapy, jakżeby je prosił, aby go w tym ciężkim terminie nie opuszczały, a potem biorąc się cały jakby w kupę, nie bacząc już na nic, ani nawet na majestat królewski, jak nie trzaśnie z bicia, jak nie huknie z całej mocy: «Au! Aju! Aju! Hyj!!!», a konie, jakżeby zrozumiały, że tu idzie o dobrego pana i o własny ich honor, jak się nie wypną gdyby pałaki, jak się nie wysadzą całe garbate, jak nie szarpną z miejsca – i oto kolasa królewska już na twardej drodze i jeno wio! dalej!

Tak podwiózł ojciec króla do Janowa, a niedaleko już było do tej stacji, i tu dwór cały zatrzymał się. Kiedy ojciec koniska udręczone wyprzągł, aby wracać po swój wóz, co został w tyle na drodze, każą mu do króla. Stanął ojciec truchlejący przed majestatem pańskim po raz pierwszy w życiu, a i po raz ostatni, a oczu nawet podnieść się nie ważył na oblicze królewskie. Mówi król Zygmunt:

– A jako się zowiesz?

– Marek Bystry, Miłościwy Królu!

– Wierę, Bystry – król na to – boś też i chłop bystry, A skąd ty?

– Z Podborza, z ekonomii samborskiej, Miłościwy Panie.

– Tedy z Rusi, a mówisz dobrze po polsku.

– Bom ja jest Polak i łaciński.

A trzeba wam wiedzieć, że wśród Rusi samborskiej jest dużo osad jakoby mazurskich, to w całych osobnych gromadach, to z Rusią pomieszanych: Powtórnia, Powodowa, Strzałkowice, Biskowice, Radłowice i tak dalej, które to osady, jako ludzie opowiadają, jeszcze ongi dawnymi laty stara królowa, co się Bona zwała, pono znad Wisły tu na Ruś sprowadziła po wielkim powietrzu, kiedy Ruś miejscami całkiem wymarła; to i ojciec mój z takiej osady pochodził.

– Masz tobie, Bystry; jedźże z Bogiem – rzecze dalej król i rzuca ojcu do czapki czerwony złoty z swoim wizerunkiem.

Łaskawość Króla Jegomości dodała ojcu serca; powiadał potem, że mu się tej chwili przypomniało owo mądre przysłowie: «Chwytaj okazją z przodu, bo z tyłu łysa». Jak tedy stał, tak pada plackiem pod stopy króla, wołając:

– Najmiłościvszy Królu! Błagam ja pokornie miłosierdzia Waszego, biedny pacholek!

Król wstać mu kazał i pytał, czego by chciał? Ojciec jednakowoż nie wstał; tylko w klęczki się podniósł i tak klęczący suplikować zaczął o konfirmację na sołtystwo, którego mu źli ludzie przeczą, a w żebraka obrócić by go radzi.

Król słuchał chwilę cierpliwie, a potem, wskazując na jednego z dworzan swoich, rzekł:

– Opowiedz to temu. – I uśmiechając się dodał: – Słyszcie, Solski! Miejcie tam na baczeniu, co za sprawę ma ten człowiek, bo to przecież jest nasz furman królewski, *auriga regius*.

Stanąwszy we Lwowie, ojciec mój przypomniawszy się pokornie p. Solskiemu, któremu król prośbę jego porучzył, a ten go znowu odesłał do innego, a ten inny do drugiego, a ten drugi do trzeciego, i tak go posyłali od Annasza do Kaifasza, aż nareście podpisek kanclerski zapisał sobie, o co rzecz chodzi, i rzekł ojcu:

– Jedź ty, człeku pocziwy, do domu; przyjdzie tobie dekret królewski na grunt; wyprawi się pisanie do zamku w Samborze.

Rad nierad, ojciec na tej obietnicy poprzestać musiał, bo gdzież to ubogiemu chłopu niebodge napychać się takim panom, przez drabanty, pokojowce, pajuki, łokciami się przeszturchiwać, a to jeszcze i w bardzo niesposobnym czasie, kiedy wszyscy mieli nabite głowy wojennymi sprawami, bo właśnie królewicz naonczas, Władysław, a dziś miłościvny nasz monarcha, wojował Turków, i kto żyw był we Lwowie, tylko o tej wojnie mówił i o nią się frasował. A też i niebezpieczno bawić się było we Lwowie – raczej uciekaj, człeczko, bo ci do Chocimia z armaty każą. Ale przecie ojciec mój wrócił wesół i dobrej myśli do domu, moc ciekawości matce i mnie opowiadał o królu, chwalił się przed sąsiadami i przed podstarościami, i przed wujem kantorem, że go Król Jegomość jakoby furmanem swoim mianował, a nawet sobie spamiętał słowa łacińskie *auriga regius*, co właśnie tyle znaczy po polsku, co «woźnica królewski». Jam wtedy miał lat 13, a brat matki mojej, sługa kościelny albo jak go zwano kantor, wuj Walenty, nauczył mnie po trosze czytać i pisać. Tedy ja, kędy trzeba – i nie trzeba, na drzwiach, na skrzyniach, na stole, wypisywałem to kredą, to węglem grube i krzywe litery, układając owe łacińskie słowa: *AURIGA REGIUS* – a tak mi się zdało, jakoby to tyle znaczyło, co hetman nad furmany.

Ale tym dobrym myśлом wrychle miał być koniec markotny, bo miesiąc mijał za miesiącem, a ona konfirmacja królewska na ojcowskie wolnictwo, co miała przyjść na zamek, jak nie nadchodziła, tak nie nadchodziła. Podstarości, kiedy ojciec wrócił taki bezpieczny obietnieniem królewskim, schował był trochę rogi, ale teraz następować zaczął na ojca coraz to ciałniej, a miał za współnika Węgrzyna pewnego, hajduka i wielkiego niegdy ulubieńca pana wojewody Mniszcha. Ten Węgrzyn, Kajdasz nazwiskiem, jeszcze pacholęciem wzięty był na dwór pański, a teraz w Podborzu przy podstarościami jakoby na łaskawym chlebie siedział i on to niby miał dane sobie od starego pana sołtystwo nasze. Tedy obaj przypiekali ojcu, turbując go groźbami: «albo się po dobremu wynoś, albo cię wytrzęsiemy z tego wolnictwa, bo my już wygrali sprawę na zamku»; a było to kłamstwo niecnotliwe, bo dekretu nie mieli, a nawet sami w sobie nie bardzo byli bezpieczni, czy wżdy naprawdę owa królewska konfirmacja nie przyjdzie. Owoż tak stały rzeczy, że obie strony się bały – ojciec: nuż go skrzywdzą? – podstarości i Kajdasz: nuż konfirmacja będzie? Kiedy się jeden i drugi boi, łącznie się godzić.

– Zapłacisz ty nam 200 złotych, a już cię zaniechać obiecujemy dla miłości ludzkiej – mówił Bałczyński.

– Nie macie wy miłości ludzkiej ani boskiej – mówił ojciec – żeście się tak sromotnie na zniszczenie moje nasadzili. Za grzechy moje dam 100 złotych, ale już mnie raz zaniechajcie i na wieczność kwitujcie, i niech was Bóg sędzi za mnie biednego pacholka!

– Dawajże zaraz, choćby i sto; z miłosierdzia tylko czynimy.

Ojciec grosza tyle nie miał, tedy po długich namowach tak stanęło, że ojciec się na tych sto złotych do przyszłego św. Michała zapisał, a za poczekanie dać musiał lichwy tego dukata, który od Króla Jegomości w Janowie dostał. Kiedym ja, małe chłopię, patrzył na to, jako w oczach płaczącej matki ów dukat królewski zapadł jakoby w głęboką studnię w skórzany mieszek Bałczyńskiego, tak mi się serce skrajało i tak krzywda ona mojego ojca padła mi cała ciężka i paląca na duszę, jako kiedybym w piersiach miał żywy ogień, że dnia tego i godziny całego żywota mego nie zapomnę, i choć potem jeszcze okrutniejsze dopuszczenia Boże spadły na naszą chatę i na nasze głowy, tej najpierwszej żalości mojej nie przytłumiły, tak jako dzwon, kiedy raz pęknie, już nie jęczy, choć weń jeszcze z większą mocą uderzysz, aniżeli wtedy, kiedy się spadał.

Miał ojciec mój tej zimy słabo zarobku, a jakoś blisko wiosny roku Pańskiego 1622 wyjechał do Lwowa z solą, choć już nierad sól woził, owszem całe już był prasolstwo zarzucił, jako się to rzekło, ale musiał jechać raz dla zarobku, wzięwszy sobie na głowę taki dług ciężki do św. Michała, a także i dla widzenia się z kupcy ormiańskimi, czy go gdzie z towarem w zyskowniejszą jaką drogę nie poszłą. Wróciwszy, mówi do matki jakoś nieśmiało, jakby bał się ją utraścić:

– Nie będzie tego roku wielkich frachtów ani do Krakowa, ani do Węgier, ani do Wołoszy, a co w tę stronę iść ma, na to się już inni furmani ujednali. Dla mnie to nic z tego nie zostało i musiałbym chyba wozić Żydom samborskim wosk i skórę a spław do Sanu. Ale pan Krzysztof Serebkowicz wyprawia za pięć niedziel ze Lwowa karawanę...

– Do Turek? O ja nieszczęśliwa? – zawołała moja matka, nie dając ojcu dokończyć.

– A jużciż że do Turek – rzecze ojciec – bo p. Krzysztof tylko z tureckimi kupcy ma swoje handle. Ale nie tak głęboko do samych Turek, bo nie aż na sam Konstantynopol, jeno do Jędrna i Warny, nad morze, bo tam okręty z towarem p. Krzysztofa przybić mają. Ujednalem się tedy z p. Krzysztofem, a jak na mój rachunek, to aby z pomocą Bożą, tam i nazad po 100 talarów zarobię.

Dużo było płaczu i lamentu w domu dla tej wyprawy ojcowskiej w dzikie i niebezpieczne kraje, aż nad Czarne Morze, które, jako mi się naonczas w głowie mojej zdało, musiało być takie czarne, jak sadza, a całe pełne straszliwych bestyj i smoków, tako samo czarnych, jako i one głębiny bezustannie nocujące, w których ani Boże słoneczko, ani księżyc, ani gwiazdy przezierać się nie mogły; nie tak, jak w naszym Dniestrze, na którego dnie modre niebo się kładło jakby w zwierciadle, a chmury płynęły pod wodą jak ryby. Płakała matka, że ojciec się puszcza co wiedzieć na jakie przygody; płakał ja, ale nie za to, że jedzie, jeno iż mnie z sobą wziąć nie chce, a tak w niemałej żalości czas ubiegał. Tymczasem ojciec milczący gotował się do jazdy, a ja, wtedy już otrok dość rosły, pomagałem, jak umiałem.

Tedy zaczęliśmy koniom dawać owsa na dwie niedziele przed wyjazdem, bo dotąd sieczkę tylko i siano gryzły i bardzo były postawły i pochudły – a było ich już tylko trzy, same brożkowe, duże, jeden wrony, którego ojciec zwał Dżumbas, bo go od handlarza Turka kupił, a takich handlarzy dżumbasami nazywają, drugi cisawy, Kłus, trzeci podżary, bo ani całogniady, ani całowrony, i ten był najpiękniejszy, a zwał się Sudany; pochodził z bardzo zacnej stadniny pańskiej, ale był bardzo stary i na jedno oko ślepy. Potem zaczął ojciec wóz opatrzywać i oprawiać, wszystko z osobna i z wielkim baczeniem od największej do najmniejszej rzeczy, od kół, osi, obręczy, do najmarniejszego gwoźdźcia i śrubki, a była to pałuba okrutnie duża, cała setnie kowana, z ogromnym koszem łubianym i przykoszkami, z poklatem na obręczach, który wyglądał jak duża buda, że w niej chyba i mieszkać by można jakby w izbie, a pokryty był grubym a gęstym cwelichem wrocławskim, że i człek i towar bezpieczny był od deszczów, jak pod dobrym dachem: A tyle było na tym wozie żelaza, tyle łańcuchów, że, bywało, jak po twardej drodze ojciec puści konie rysią, to taki brzęk, taki łoskot, taki tętent i dzwonięcie, a przy tym tak huczy, jakoby w kotły bito, co zawsze było z podziwieniem ludzi, jako że w tych stronach ruskich, a osobliwie pod górami, mają chłopcy wózki mizerne, że w

nich i jednego ćwieczka żelaznego nie masz na pokazanie, a wszystko to piszcze i skrzypie, i trzeszczy, że kiedy z gór długim żurawiem z klepkami ku splawom jadą, to na milę słyszysz tę muzykę.

Dużo by pisać, jak opatrzenie ojciec na tę daleką drogę się wybierał, jak osobno zładował woreczek owsa święconego w dzień św. Szczepana Męczennika, aby go po drodze do karmy dosypywać dla odżegnania złego od koni; jak dobierał zieleń na różne choroby końskie: lulkę, lipkę, wilżynę, kopytnik itd.; jak robił zapas smarowidła na rzemienie: z wódki, sadła i sadzy gdańskiej; jak w osobny skórzany worek wkładał naczynie przygodne: młot, obcęgi, dłuto, szydło, kopę całą ufnali; jak czyścił topór, samopał i szeroką szablę multankę, bo bez tego ani ruszaj się z domu, skoro cię droga prowadzi w takie dalekie a dzikie krainy. Tymczasem matka ładowała odzież i bieliznę, a i o strawie na drogę pamiętała: chleba, jagieł, słoniny, gomółek, choćby tyle, aby nie od razu z gotowego grosza żyć, ale na swoim jakiś tydzień i drugi poprzestać. Dał ojciec na mszę księdzu plebanowi, wysłuchaliśmy jej w wielkim nabożeństwie; ojciec się wypowiadał i Przenajśw. Sakrament przyjął, pożegnał się z wujem kantorem i znajomymi we wsi; w skruszeniu serca po Sakramencie nie zapomniał nawet o podstarościm i hajduku Kajdaszu, choć za ich to sprawą musiał się hazardować i tam jechać, gdzie się już jeździć zarzekał, bo się tym pogańskim szlakiem człek wyprawia jak na wojnę, niepewny jutra i życia.

Nazajutrz rano jeszcze słońca nie było na niebie, a już pałuba zaprzężona stała gotowa, konie parskały żwawo, jakby na dobrą wróżbę, i grzebały ziemię kopytami, tak im przybyło ochoty i gorąca po dwuniedzielnym obroku. Ojciec przeżegnał znakiem krzyża św. matkę i mnie, a matka jego, obłapił i ucałował nas oboje, zrobił biczem znak krzyża świętego przed końmi, siadł na kozioł, trzasnął z bicia... „Aju! Hyj!” Zaturkotał wóz po suchej drodze, a mnie i matce się zdało, że te jego kowane koła po sercu nam przejechały.

II

KOZAK SEMEN

Wkrótce po tym wyjeździe mojego ojca stało się u nas wielkie zamieszanie i jakoby trzask okrutny, jeno że bardzo niewesoły. Wracały wojska z wojny tureckiej, a wracały biedne, chude, odarte i głodne, a w onej biedzie własnej niepamiętne biedy ludzkiej. Rozsypał się żołnierz szeroką siecią; zawadził i o ekonomię samborską, jako że to była królewszczyna, a tedy najbardziej na gospody żołnierskie wystawiona. Napatrzyłem się wonczas i buty, i nędzy wojackiej do syta. Najpierw zaczęła się przewijać szlachta, wracająca do dom z pospolitego ruszenia, ale tej spieszno było do własnego komina, a podobno mało tam który z niej widział żywego Turka, bo się to wszystko zaraz po chocimskiej potrzebie jeszcze spode Lwowa wróciło, nie zażywszy obozu i nie powąchawszy prochu. Ale za nią posypał się dopiero prawdziwy żołnierz najrozmaitszej broni, jeszcze jakoby mokry od krwi pogańskiej, a i od swojej własnej, kurzem bitwy okryty, czarny od wiatrów i słońca – często chory, często ranny i okaleczały, a zawsze głodny, odarty i prawie że dziki. Napatrzyłeś się wtedy, bracie, co to wojna umie!

Husaria, pancerni, dragonia, rajtaria, piechota łanowa, kozacy i Bóg tam wie jaki jeszcze lud zbrojny, bo byli między nimi i Wołosi, i Węgrzyni, i Niemcy – wszystek ten żołnierz to mijał, to się zatrzymywał, a najczęściej tak bywało, że ledwie jedni się osadzą, a już drudzy ich spędzają z gospód siłą mocą, tak że bez trzasku szabel i bez strzelaniny często się nie obyło. A wszystko z uciskiem i ze łzami ubogiego ludu, bo żołnierz długo był niepłatny; tym żył, co mu dano, a raczej tym, co sam wziął. Były między nimi szarpacze, że ano nie wiesz, czy to swój, czy nieprzyjaciel; z Tatarem stali za jedno. Gdzie był jaki kogut, to go zjedli; cielęta rznąli, płótno babom wydzielali, ziarno żyta i żdźbło słomy nie zostało po nich w stodole.

Tak i u nas w Podborzu działo się z wielkim strachem moim, a z niemałym płaczem mej matki. A ta jedna tylko była pociecha dla mnie, że zaraz pierwszego dnia żołnierze okrutnie zbili podstarościego i hajduka Kajdasza za to, że ich do dworu puścić nie chciano, kazać im na nas ubogich chłopkach poprzestawać. Za zmiłowaniem Bożym poszli nareście, albo raczej wyścigano ich z całej okolicy, zaś na ich miejsce przyszły rotty husarskie, a między nimi i rota p. kasztelana Samuela Koniecpolskiego, który po panu Daniłowiczu trzymał starostwo samborskie. Podstarości z hajdukiem Kajdaszem pisali dla nich gospody, a jako chata nasza była najdogodniejsza we wsi i była przy niej duża stajnia, to nas najpierwszych pisali. We dworze, w którym tylko podstarości Bałczyński siedział, stanął sam pan chorąży husarski z kilku towarzyszami, a na naszą zagrodę przypadły trzy konie z jednym czeladnikiem służebnym.

Pamiętam, było to już pod wieczór, a wrota naszego podwórza były przywarte; kiedy siedząc w izbie, słyszę mocne wołanie:

– Hej, ho! Hej, ho!

Wychodzę ja i spojrzę: przed wrotami stoją trzy konie; dwa z nich wyniosłe i szumne, całe czerwonymi suknami nakryte, bardzo pańskie i harde, żem takich pięknych jeszcze nie widział, zaś trzeci o wiele mniejszy, chudy i bardzo na oko niepoczesny, a na nim siedzi młody człek, jakoby wyrostek dopiero, w kaftanie z cielęcej skóry, na której sierść była zostawiona, w czapce baraniej wysokiej i spiczastej, przegiętej na lewy bok, z długą spisą i przy szabli, a na plecach i przy boku wiszą mu trzy jakoby sakwy, jedna bardzo długa, druga krótsza, trzecia, jakby okrągła, a wszystkie trzy mocno kudłate, bo z koziego kozucha szyte.

– Hej, ho! Hej, ho! – woła na mnie patrzącego – a odewrzesz ty wrota, *kotiuho!*

Idę otwierać, a tymczasem wyszła i matka, już zła bardzo, cała czerwona i chmurna, z zacisniętymi od gniewu ustami, bo już jej były te gospody żołnierskie dojeły do żywego i tak nas zniszczyły, że i chleba suchego w domu nieraz nie było, że pamiętam, matka zwykła była mówić: Przyszedł jeden, wziął sukmanę; przyszedł drugi, wziął koszulę; przyjdzie trzeci, to chyba skórę z ciała zedrze.

Ale ten nowy gość w cielęcym kaftanie jakoś tak nie wyglądał, jakoby nas ze skóry miał łupić. Choć mnie przed chwilą nazwał *kotiuha*, teraz kiwnął mi głową i uśmiechnął się wesoło, zeskoczył z konia, zdjął czapkę, pokłonił się pięknie matce, pocałował ją w rękę i rzekł:

– *Sława Bohu!* Daj Boże zdrowie, pani matko!

Kiedy zdjął czapkę i grzecznie nas pozdrowił, my oboje jeno gęby pootwierali od zdziwienia, bo ano ten człowiek miał całą głowę ogoloną, a na wierzchu jeno został mu długi kosmyk włosów, jakoby warkocz zapleciony, a ten sobie zawinął aż poza ucho. Pomiarkował to ten człowiek, że na niego jakby na dziw patrzymy i śmiejąc się rzecze:

– Ano, to wy, jako baczę, żywego Kozaka jeszcze nie widali?

Jam przecież widywał często kozaków starościńskich, bo z zamku samborskiego z listami jeździli, ale ci byli w barwie przystojnej i włosy tak strzygli, jako my wszyscy, i nie wieszali na sobie takich biesag kosmatych i spis takich długich u nich nie widziałem, jeno szable i pletnie. Tak mu też powiadam.

– Bo tamto to sobie czeladź służebna, starościńska – rzecze on na to – a ja mołojec rzetelny, wolny, i z Kozaków «nieposłusznych», zaporoskich.

– A kiedy wy nieposłuszny i niesłużebny, to czemu służycie i słuchacie? – mówi matka.

– Bo teraz muszę, ale mój ojciec nie musiał i ja przódy nie musiał, i niezadługo to znowu nie będę musiał, jak Bóg da... U nas tak powiadają: *Terpy, Kozacze, budeś atamanom!*

Mówił po rusku lubo umiał także po polsku, ale my i po rusku dobrze go rozumieli, jako żeśmy między samą Rusią i porodzili się, i wychowali.

– A ciebie jak wołają? – pyta mnie ten Kozak. – Hanusz – odpowiadam, bo na imię było mi Jan, ale ojciec z miejska Hanusz mnie wołał, i pytam: – A was jak?

– Ja się nazywam Semen Bedryszko, spod Czerkas, assawułów syn.

Zawiódł konie do stajni, a już mu było ze dworu obroki przystawiono, ustawił w przeworinach, uwiązał, nasypał jeść, założył siano, a przed tym jeszcze długą spisę i owe kosmate biesagi w kącie złożył. Potem z jednej biesagi wydobył łuk, z drugiej łubie ze strzałami, a z trzeciej kobzę kozacką z dereniowego drzewa i wszystko to obok siodła i dwóch pistoletów, które miał w olstrach kulbaki, porządnie na kołkach porozwieszał.

Ja przez cały czas chodziłem za nim oczami w ciekawości wielkiej, a kiedy wyszedł ze stajni, pobiegłem i ja, czekając, rychłoli, tak jak inni żołnierze, weźmie kłac a na matkę wołać: «Dawaj, babo, jeść!» Matka była właśnie na podwórzu z siekierą w ręku i zabierała się do rąbania drwa, bo sługi już wtedy nie mieliśmy, a tu Kozak skoczy do niej, odbierze jej siekierę i powie:

– Zostawcie; ja to lepiej umiem!

Narąbał drew, zaniósł do izby, wziął dwie próżne konewki i nie pytając nawet, gdzie we wsi studnia, bo ją po drodze widział, nanosił wody, a widząc, że matka nieci ogień na kuchni, podsunął się i sam go tak prędko rozniecił, że ja z matką z podziwieniem na to patrzyliśmy.

Zobaczył garnek czysty, który matka nagotowała była, nalał doń wody, przystawił do ognia, a zrobiwszy to wszystko, siadł na ławce i mrugając do nas wesoło, mówi:

– Ogień jest, woda jest, *ino waryty, koby buło szczo!*

Tak się ten Semen grzecznie przymówił do wieczery, a że matka mu rada była za tę jego poczciwość, tedy miał i kaszę jaglaną z mlekiem i trochę szperki do chleba się znalazło – a jadł jak wilk, taki był głodny.

Wziął nas od razu za serce ten Kozaczek i z każdym dniem miłszy był mojej matce; ja zaś tom go tak polubił, jak gdyby to był mój rodzony. Nie był nam ciężki, owszem niepomалу pomocny; nie jadał nawet z nami, bo go jako czeladniczka p. kasztelana Koniecpolskiego podstarości we dworze żywić musiał, a matce, kiedy tylko mógł, to pomagał: drwa rąbał, wodę nosił, izbę zamiatał, na pole chodził, sieczkę rznął, na żarnach mąkę mełł; co weźmie, to mu się pod ręką pali, taki żwawy robotnik, a wesoły, a śpiewający, aż w chacie miło.

Bywało weźmie wieczorem tę kobzę swoją i zacznie śpiewać, a przerwami na strunach przebierać, że ano i one śpiewają jakoby żywe, i zda ci się raz; że płaczą żałośnie, tak że i tobie płakać się chce; to znowu biją jakby w dzwony radośne, albo jak wesołe skrzypki do tańca wołają, że jeno poskocz z miejsca; to znowu szumią cicho jak wiatr w burzanach i giną gdzieś daleko, daleko, jakby to aż za górami, za borami było, że już nie do ucha gadają, ale do samej duszy człowieczej, i tak ci się robi, jak kiedyby coś bardzo dobrego i umiłowanego od ciebie uciekało, uciekało, a nareście całkiem uciekło i wrócić nie obiecało... Matce mojej zawsze się wtedy na płacz brało i zawsze jej stawał na oczach ojciec, biedny, samotny, wędrowny, w dalekich pogańskich krainach.

– Miły Boże – rzecze tak raz matka – co tam teraz mój porabia!

– Wasz? – pyta Semen i mówi dalej: – Ot, ja głupi, to ja myślał, że wy wdowa, a gdzież wasz?

– Pojechał z furmanką, z ormiańskim towarem... już temu kilka niedziel będzie.

– A gdzie pojechał? – pyta Kozak.

– Daleko, bardzo daleko, aż do Czarnego Morza.

Kozak klasnął w dłonie i woła:

– Czarne Morze! *Znaju, znaju!* Bywał ja na Czarnym Morzu, oj, bywał! Tak rok jeszcze bywał! Hej, hej, to jakby moja ojczyzna!...

A kiedy to mówił, to tak jak gdyby i radość, i żałość jakaś zarazem go zbierała, a oczy mu się zapaliły jak dwa żywe węgle.

– Nad Czarne Morze pojechał; ot, i patrzcie, a nic mi nie mówicie! Ale gdzie, na jaką stronę? Widzicie: Czarne Morze wielkie, wielkie jak świat! A po brzegach grody i sioła, i zamki, a od jednych do drugich daleko, daleko, znowu świat! Biłogród, Kilia, Sulima, Tarabozan, Synopa, Warnia...

– Warnia, Warnia! – zawoła matka – do Warny z kupcami pojechał.

– Ot, co, tak i gadajcie, do Warny! *Znaju, znaju!* To nie tam od Zaporozia, gdzie nasz Dniepr, ani tam od Wołoszy, gdzie wasz Dniestr do morza wpada, to na dole, na dole...

– Jakoż to Dniestr? – rzekę ja z wielkim zdziwieniem, bo Dniestr płynął pod naszą wsią i ledwie go z oka naszego nie widać – to Dniestr płynie aż do Czarnego Morza?

– Co nie ma płynąć?... płynie aż do samego morza, a jakby ty, mołojczyku, wyszedł tu z Podborza, a szedł brzegiem, a szedł i szedł, i szedł..., tobyś do limanu, a z limanu do Czarnego Morza zaszedł, ot, co!

Zadumał ja się bardzo, a tymczasem matka mówi:

– A wy tam byli, Semen?

– Czemu ja nie miał być? Był ja tam, był ja i dalej. Kędy to Semen nie bywał z ojcem asawułą i mołojcami!...

– Tak piechotą, brzegiem dniestrowym? – pytam ja teraz.

– Widzisz go! Piechotę, brzegiem! Jeszcze ty dumny mołojczyk jesteś! Na czajkach my tam byli.

I zaczął się śmiać bardzo ze mnie, a ja się już wstydzilem pytać, co to są czajki, bo znałem tylko czajki ptaki i słyszałem, że jesienią wybierają się za morze, ale matka pyta:

– A cóż to są czajki?

Tedy dowiedzieliśmy się od Semen, że to są takie duże czółna, żłobione z lipowych kłód, skórą w środku wybite, a dokoła trzcina, czyli oczeretem oplatane, na których i rzekami i morzem chyżo płynie, kto wiosłowania dobrze świadom.

– A co wy tam robili, Semen, na Czarnym Morzu i w Warnie? – pyta matka.

– Co my tam robili? Hulali! W gościnie my tam byli, hej, w gościnie! Tylko że nam tam nie byli radzi, oj, nie byli, pewno nie byli!

I tu przerwał i nie chciał dalej mówić, jeno taki stanął, jakby go kto odmienił; coś mu takiego z oczu błysnęło, czego my przedtem nigdy w nim nie widzieli, tak jakoby w tym Kozaku jeszcze drugi jakiś człek siedział, ale zły i srogi, a dopiero teraz niby z jaskini na nas spojrział. Ale to na chwilę tylko było, bo zaraz potem znowu był wesół.

Mieli my dużo pociechy z tego Kozaka, i ja, i matka, i sąsiedzi, a ja to już pewno najwięcej. Nauczył mnie na swej kobzie grać, nauczył z łuku strzelać, a był taki sprawny w tym strzelaniu i taką miał dziwną pewność w oku, że bywało ptaka w lot strzalał przeszyje; pokazał, jak mam sobie strugać wereszki na strzały, jak na nie nabijać ostre płoszczyki, jak robić zatraski, sidła i siatki na ptactwo i zwierzyne, jak wypłacać węciorki na ryby, jak w czystym polu lub w lesie rozeznać się, gdzie słonko wstaje, a gdzie się chowa i gdzie na niebie południe a gdzie siewierz, a to nawet w nocy, wedle gwiazd; jak przykładać ucho do ziemi i nasłuchiwać, i poznać, czy kto jedzie z daleka i czy to wozy, czy konni ludzie, i czy ich mało, czy więcej – owo zgoła nauczył rozmaitych ciekawości, których u nas we wsi nikt albocale nie znał, albo niedobrze wiedział. Z koniem swoim, chudym i na oko marnym, to był jakoby z przyjacielem albo z rodzonym bratem, mówił do niego jak do człowieka i powiadał, że koń jego rozumie, a on konia; jakoż była to szkapo osobiwa, jak dobrze chowany pies zmyślna i posłuszna, i jak pies do swego pana przywiązana. Pozwalał mi też na swego konia wsiadać, a kiedy tamte dwa konie husarskie prowadził na przekłuskę, pozwalał mi jechać na swoim, a sam jednego z husarskich dosiadał.

Jednego ranka wyjechaliśmy tak z końmi i wzięliśmy się drogą ku Samborowi. Ujechaliśmy może jaką ćwierć mili, kiedy się natknijemy na wóz mały, ale dobrze naładowany, tak jakby jakiś towar wioził, z dwoma mocnymi końmi w zaprzęgu węgierskim i z furmanem ubranym nie po naszymu, bo u nas takich świtek z samodziału i takich czapek wysokich, spiczastych, a bardzo podobnych do tej, jaką Kozak Semen miał na głowie, nigdzie dokoła nie naszano. Jak go Semen zobaczył, to aż prawie podskoczył na koniu i zaraz do niego po rusku:

– *Sława Bohu!* A wy od Taraszczy?

– A od Taraszczy. Od Łebedynej Grobli.

– A skąd jedziecie?

– Aż z siedmiogrodzkiej ziemi.

– A dokąd Bóg prowadzi?

– Do Lwowa, a stamtąd, pomagaj Bóg, do domu, na Ukrainę.

– A wóz i konie wasze?

– Gdyby moje! Ja czumak biedny. Nie moje, żydowskie...

– A jaki to Żyd?

– Chocimski, turski Żyd, Czarny Mordach.

– Czarny Mordach, co go po tursku Kara-Mordach nazywają! – krzyknął Semen i tak rzucił sobą na koniu, jakby go kto strzalał przebódl. – A gdzie oni?

– Został w tyle – mówi furman – jedzie konno, na siwym bachmacie, ot, i słyszać kopyta.

Patrzę ja w tę stronę i widzę: jedzie na siwym koniu chłop setny, w czarnej żupicy, przepasany szerokim rzemieniem z surowej skóry, z twarzą ciemną jakby u Cygana, z dużą czarną brodą i z małymi bystrzymi oczyma, świecącymi jak u kota, ale kosooki, tak że tym zezowatym spojrzeniem brał cię jakoby we dwoje szydeł i chciał niby przekłuć człowieka brzydkimi ślepiami na wskrós z obojej strony.

Jak go tylko Semen zobaczył, poczerwieniał cały jako mak polny, żyły mu nabiegły krwią na czole, a oczy mu się zapaliły takim gniewem, że aż mnie samemu stał się straszny.

– Bóg mi jego dał! Bóg mi jego dał! – woła wielkim głosem i sady z koniem prosto na onego Żyda.

Żyd patrzył więcej na nasze konie niż na nas, dopiero gdy Semen tak krzyknął i tak do niego podjechał, że swoim kolanem prawie jego kolana dotknął, podniósł oczy na Kozaka.

– Kara-Mordach! Kara-Mordach! – krzyknął teraz Semen. – Pogański synu! Sobako! Znasz ty mnie? Znasz ty Bedryszkę?

Żyd się zatrzęsł, pobladł i z nagłym strachem umknął się w zad konia, ale w tej samej chwili Kozak łap! go za gardło i tak okrutnie ścisnął, że małe oczka Żyda krwią nabiegły i wysadziły się na wierzch jak gałki. Żyd aż zacharczał, ale w tej chwili, jako miał pleciony kańczug w ręku, tak nim z całej siły uderzył konia, na którym Semen siedział. Świsnęła żydowska pletnia w powietrzu jak żmija i jak żmija zwinęła się na koniu, a koń zapiszczał z bólu i strachu i jak wściekły rzucił się wielkim skokiem na bok. Semen spadł na ziemię. Żyd zaciął pletnią swego bachmata i zaczął uciekać gwałtownym cwałem. Jak wichler rozmiatał za sobą kurzawę i przepadł z oczu jakoby w ciemnej chmurze.

Semen porwał się na nogi, strącił mnie z swojego kozackiego konia jak kluskę na ziemię, wspiął się w kulbakę i nie rzekłszy do mnie ani słówka, puścił się strzałą w pogoń za Żydem.

Tylem go widział i słyszał, co świszcz puszczone z łuku... Zerwał się w górę wysoko drugi tuman kurzu i zakrył i Semen, i konia. Zostałem sam na drodze, a konie husarskie tymczasem popędziły na pola. Nie wiedziałem, co czynić, czy łapać konie, czy czekać na Semenę – stałem głupi od strachu i ciekawości, z oczyma wlepionymi w obłoki kurzu, które umykały coraz dalej, coraz dalej, aż opadły pod górą.

III

TAJEMNICA KOZACKA

Minął dzień, a Semen nie powrócił. Konie, połapane w polu, dopiero pod wieczór przywieziono do wsi, ale już ich nie postawiono w naszej stajni tylko we dworze u podstarościego. Przyszedł hajduk Kajdasz do naszej chaty i kazał mi z sobą iść do dworu. Szedłem z wielkim strachem, jak kiedybym współwinnym był w tym, co się stało z owym Żydem i Semenem. Pytano mnie surowo, a nawet chłostą grożono, abym wszystko powiadał, co jeno wiem, bez wszelkiego zatajenia; jam też wszystko powiedział, choć tego niewiele było i nikt z tego mądry być nie mógł. Całą noc tego dnia nie spałem; matka także; zawsze nam się zdawało, że Kozak wróci; a kiedy się tylko co ruszyło na podwórzu, wiatr czymś potrącił, pies gdzieś we wsi zaszczekał, wybiegałem z chaty, czy to nie Semen wraca.

– Niechajby już nie wrócił i niechbyśmy go już nigdy nie obaczyli – rzecze mi matka na-
zajutrz rano – byleby go nie złapano. Bo co wiedzieć, jako to było i co się stało? Może co strasznego; może rozbój jaki, zabicie tego czarnego Żyda...

Trafiła matka w samą prawdę, bo pod wieczór wuj kantor, który Semen u nas poznał i bardzo polubił, przybieżał do nas zadyszany i prawi:

– Jechali dziś solarze z Drohobycza; powiadali, że tam niedaleko Bronnicy znaleźli ludzi na polu jakiegoś turskiego Żyda, szablą srodze zrąbanego, że już znaku życia nie dawał. Złożyli go u Żyda kwotnika, co niedaleko mieszka, a balwierz, co go zawołano, jeszcze się w nim życia domacał, ale mówi, że mu śmierć pewna od rozłupanej czaszki.

– Od Semenowe j szabli! – zawołałem prawie z uciechą, bo lubom z tej całej przygody nie rozumiał, przecież na ślepo trzymał z Kozakiem przeciw Żydowi.

– Pewno że nie inaczej – mówi na to wuj – ale kto tam wie, czy się i Semenowi nie dostało, bo Żyd ów prawie że jeszcze trzymał w ręce wystrzelony pistolet.

– Może i Semen zabity! – woła matka. – Może, postrzelony, powlókł się gdzie w las albo w pole i tam skonał. Nieszczęśliwy sierota!

– Toby jego koń został – mówię ja na to – a jak konia nie ma, to Semen pewnie zdrowo uszedł. Znam ja tego konia dobrze; nie odstąpiłby on swego pana na krok; tak by przy nim wartował, jak pies, i prędzej by zdechł, niżby go odbieżał.

Tak my i wszyscy we wsi gadali i zachodzili w głowę, co to była za rzecz między Semenem a tym podróżnym Żydem turskim, a tymczasem znowu dzień minął bez słyhu i wieści, i wszystko, jako nam było tajemnicą, tak i pozostało. Tej nocy ja znowu usnąć nie mogłem, ciągle myśląc o Żydzie i Semenie, a obaj stali mi tak w oczach, jak gdybym obu żywych miał przed sobą. Leże tak w małej izbie z otwartymi oczyma – matka spała obok w świetlicy – i w głowie mi się kłębi od samych dziwnych rzeczy, jak gdyby w jakiej strasnej bajce, i patrzę w małe okienko naprzeciw mojego posłania, a noc było dość jasna, choć księżyc nie dochodził jeszcze pełni – kiedy nagle widzę, że jakiś cień podsuwa się pod okno i słyszę jakoby lekkie pukanie. Nie wierzę zrazu ani oczom, ani uszom, myśląc, że to tylko przywidzenie, ale

oto znowu i cień widzę wyraźniejszy, i pukanie słyszę głośniejsze. Zrywam się z posłania i w tej chwili przychodzi mi na myśl, że to chyba Semen być musi.

Ostrożnie, po cichutku, aby matki nie budzić, wymykam się do sionki, odsuwam zaworę i z progu wyglądam na podwórze. Patrzę, a tu pod oknem stoi Semen. Zobaczył mnie zaraz i przystąpiwszy mówi do mnie szeptem:

– To ja, Hanusiku, ja, Semen. Gdzie moje pistolety?

– Schowałem je w izbie – odpowiem.

A trzeba wiedzieć, że nazajutrz po zniknięciu Semen zabraliśmy z matką z pustej stajni wszystkie jego rzeczy: łuk, sajdak, pistolety, kobzę, do komory.

– Łuk i kobza niech będą twoje, na *niezabudysz* po Semenie, ale pistolety mi wynieś i sam się zbieraj, bo mi ciebie trzeba.

Wpadłem do chaty, ogarnąłem się prędko, po cichu z komory zabrałem pistolety i wykradłem się na dwór jak złodziej, aby matka nie słyszała. Kozak wziął pistolety, chwycił mnie mocno za ramię i tylko jedno słowo powiedział:

– Chodźmy.

Zagroda nasza stała dość daleko za wsią, prawie na bezludziu, nie było tedy wielkiej obawy, aby nas kto widział, choć jak rzekłem, noc jasna była. Jednakże Semen rozglądał się do brze dookoła, jakiś czas nasłuchiwał, a potem ruszył ze mną bardzo szybkim krokiem. Przebiegliśmy pole i zapadli w las, a od Podborza zaczynają się ogromne lasy i idą daleko, daleko w góry, aż pod Beskid ku Węgrom, ciemne, gęste bory, jakoby jedna nieprzebrana puszcza. Na brzegu lasu Semen się zatrzymał i mówi:

– Otwórz ty dobrze oczy jak ryś, bacz ostro i miarkuj sobie a zapamiętaj drogę, abyś się tu dobrze wyznał i abyś tam mógł trafić beze mnie czy dniem, czy nocą, dokąd ja ciebie teraz zawiodę. Tam uważaj i pamiętaj, jak gdyby ci o śmierć albo życie chodziło.

Wstąpiliśmy w las i szliśmy długo, bardzo długo, że mi się to parę godzin zdało, a Semen po drodze ciągle mnie uczył, jako poznawać drogę, pokazywał mi znaki, według których mam się brać, to prosto, to w lewo, to w prawo; tu debra, tu ruczaj, tu jar, tu polanka, tu wyrócisko, tu majdanek, tu zielony od mchu moczar; tedy pójdziesz, tak skręcisz, stąd prosto jak strzelenie z łuku na północ się weźmiesz. Kazał mi leżać na bardzo wysoką sosnę i sam wylazł, a stamtąd na gwiazdy uważać kazał, które z nich dobrze drogę mi wskażą, gdyby tego była potrzeba.

Nareście przyszliliśmy na polanę większą, w czarnej gęstwinie ukrytą, z jednej strony od lasu jarem głębokim przepartą. Od polany tej ku północy las wyraźnie jakby do góry skoczył, albowiem tak się nagle i stromo grunt leśny podnosił, żeśmy naraz stanęli przed urwistą skałą, jakoby przed ścianą i gdybyśmy byli chcieli dostać się dalej, nie zbaczając z drogi, to chyba leżąc po drabinie byłoby trzeba. Tu Semen stanął i pyta:

– Spamiętałeś dobrze drogę?

– Spamiętałem.

– Trafisz do domu?

– Trafię.

– A z domu?

– I z domu.

– Ile tobie lat? – pyta dalej.

– Piętnasty.

– Piętnasty rok – rzecze na to Semen – a to w twoich leciech już był mój ojciec ze mną! Brał mnie ojciec na wojnę i na chadzkę do czajki na Czarne Marze! Czy ja jednego Tatara strzelałem z konia zabiłem, jak ja miał piętnaście lat! Wiem, że ty ciekawy i niedurny; i szczerza dusza jesteś, i wierna; wiem, wiem. Zdrady jeszcze nie znasz, pewnie nie znasz, ale czy nie poznasz? Kto to wie, *Boh znoje*... Za nami, Kozakami, chodzi zdrada jako cień za człowiekiem;

więcej mołojców ginie od zdrady niż od lackiego samopasu, niż od tatarskiej strzały, niż od janczarskiej szabli! A przysięgniesz, że mi wiary dochowasz?

– Przysięgnę! – mówię śmiało.

Semen wyjął z zanadru mały krzyżyk drewniany, kijowski, rzezany, pocałował go, kazał mnie pocałować i tak się ożwał:

– Na ten krzyż, na św. Spasa, na Bogarodzicę, na św. Mikołaja i na wszystkich świętych i błazennych Ławry Pieczarskiej przysięgnij, że to, czego się tu dowiesz, zachowasz w tajemnicy, że nikt nie usłyszy od ciebie tego, co ty ode mnie usłyszysz, że nikomu tego nie pokażesz, co ja tobie pokażę, i że wszystko tak zrobisz, jako ja ciebie nauczę! Czy przysięgasz?

– Przysięgam.

– Ten turski Żyd, Kara-Mordach, cośmy go spotkali, to był taki przeklęty pies i zdrajca, co krew kozacką pił. Bóg mi go w ręce dał; zginęła żmija od szabli kozackiej.

– Co on wam zrobił, Semem – zapytałem.

– Co zrobił? – zawołał Semen – ojca mojego zdradził i sprzedał, Turkom pohańcom go sprzedał, jak podłe bydło sprzedał, jak psa na łańcuch go wydał!

– A kto był wasz ojciec? Czy także Kozak – pytam znowu.

– Jakże nie Kozak? – rzecze Semen. – Oczywiście Kozak, my wszyscy z Kozaków i Kozacy; każdy Bedryszko Kozak! Ale jaki był Kozak! Takiego drugiego nie ma w Siczy, w całej Ukrainie nie ma ani na Zaporozu! On jeszcze hetmana Konińskiego widział, z Borodawką wojował, z Łobodą na Turków chodził, z Nalewajką i z Sahajdacznym! On był prawą ręką Sahajdacznego Konaszewicza, okiem w głowie był u niego. Czarne Morze go zna i sam sułtan wie o nim i baszowie turecy trzęśli się przed nim ze strachu! On Synopę złupił i Archiokę z dymem puścił i Oczaków; z Konaszewiczem Warnę spalił – niedawno, ledwie dwa roki temu! Z Lachami chodził na Turków; hetman Żółkiewski go znał i hetman Chodkiewicz; pan Koniecpolski prawie go za brata i towarzysza miał, tak jego lubił. Ale nie ten wasz Koniecpolski, pan Samuel, tylko ten drugi, p. Stanisław, *choroszy* pan i rycerska krew, co go Turcy pod Cecorą w jasyr wzięli! I to całe nieszczęście, że go wzięli! Pan Stanisław Koniecpolski byłby ojca mojego od Turków pewno wykupił; pan to *praworny*, hojny i sam żołnierz wielki; ale cóż, sam on teraz w nieszczęściu; kto wie czy jeszcze żyje, może go już Turcy w Czarnej Wieży udusili, może na haku wisi jak kniaź Dymitr sławnej pamięci!

– A czemuż wy, Semen, nie ratujecie ojca? – pytam Kozaka.

– A co by ja tu był u was robił, gdybym ojca ratować nie chciał? A po co mnie było wybierać się tu, aż pod Sambor? Ja Kozak wolny, nieposłuszny, nigdy ja panom nie służywałem, a tak przecie wzięłem służbę u pana Samuela Koniecpolskiego, dlatego że to Koniecpolski, bom sobie tak dumał, że on mi ojca wykupi z rąk pogańskich, bo go także zna i wie o nim; od swego krewniaka wie i od innych panów rotmistrzów wie. Ale to już nie taki pan, jak Stanisław, i nie taki żołnierz, choć z jednego rodu i z jednej krwi. Ot, jak to powiadają: z jednego drzewa krzyż i łopata! Czekałem na niego i doczekać się go nie mogłem; byłbym przecie czekał jeszcze dalej – ale Bóg mi dał w ręce Kara-Mordacha i już teraz nikogo nie potrzebuję. Wiem ja już, co robić, i jak ojca ratować!

– A macie pewność, że wasz ojciec żyje jeszcze między Turkami? – pytam Semena – może już zabit!

– Zabit! – woła na to Semen. – Turcy go pewnie nie zabili! Oni radzi, że go żywego mają, aby najdłużej; oni go sobie na wagę złota kładą. Trzeba ci wiedzieć, że mój ojciec to sławny puszkarz, głośny po świecie, hen, na całą Ukrainę. Drugiego takiego nie znaleźć, chyba w niemieckich krajach.

Chciałem się pytać Semena, co to jest puszkarz, bo wtenczas tego nie wiedziałem, ale on jak gdyby zgadł, że tego nie rozumiem, rzecze dalej:

– Albo wiesz, co to jest puszkarz? Pewnie nie wiesz! Ot, co, piętnasty rok chleb je, a durny, o puszkarczy nie słyszał? Ale o armatach, słyszałeś, o działach, jako wy w Polsce nazy-

wacie? Puszka a działo to jedna rzecz. Mój ojciec umie koło armat chodzić, jak nikt nie umie... Jak nastawi, wymierzy, wyceluje, wypali, to kula ani na piędź nie chybi; jak chce komu urwać głowę, to urwie jako nic. Ja tak z łuku strzelić nie umiem, jak mój ojciec z puszek! Jego kule słuchają; tam każda leci, kędy ją poszle, jak Kozak z listem. Ale to jeszcze nie wszystko, chociaż to bardzo wiele. Mój ojciec sam umie puszek robić. Umie on ułać ze spiżu taką okrutną armatę, że chłop w nią wlezie, a jak z niej strzelą, to ziemia się trzęsie, a kula z niej wieże i mury wali, w kupę kamieni je obraca. On i dzwony łać umie, a jakie! Jak zadzwonią, to jakoby ze szczerzego srebra były; jak się rozhuczą, to aż się serce raduje; głos po polach i stepach milami płynie, do nieba bije... bam! bam! całe powietrze gra i śpiewa? Może kiedyś usłyszysz taki dzwon, co go ojciec łał, albo zobaczysz taką puszkę jego roboty; czemu nie? U Nalewajki była jedna, wzięli ją wasi do Krakowa. A na każdej puszcze i na każdym dzwonie napisano ładnymi bukwami: OPANAS – bo memu ojcu Opanas na imię. To jakże takiego majstra Turcy by zabijali? On żyje, ale gdzie? Bóg zna. Może w Chocimiu, może w Benderze, może w samym Stambule koło puszek robić musi, na pożytek pogan, a na zgubę i kozacką, i laszą. Ale ja go znajdę, koniecznie znajdę, jak Bóg na niebie! Teraz już wiem, jak, i mam, czego mi trzeba.

– A to obdarliście pewnie Żyda Mordacha; Semen – zawołałem – macie teraz dużo złota na wykup...

– Obdarł, nie obdarł – mówi Kozak – miał, psi syn, na sobie trzos pewnie pełny dukatów; nie wzięłem ani jednego. Ja szukał czego innego i tak Bóg dał, żem znalazł. I dlatego nie dbałem już o jego pieniądze.

– A co to było? – pytam.

– Patrzcie owo, skąd ty taki wziął się ciekawy! To było coś, co więcej warte złota, niżby go był mógł udźwignąć na sobie Kara-Mordach, choć widziałeś, jaki chłop! To było to, co zgubiło mego ojca!

– A mówiliście, Semen, że ojca nie co innego zgubiło, tylko zdrada żydowska.

– Ale zdrada z tego poszła, że ojciec miał to, na co Żyd był łakomy jak wilk na barana, a czego kupić nie mógł, bo ojciec wiedział, co to warte. Widzisz bo, mołojczyku, u nas tak się dzieje: Idzie Kozak na wyprawę, na chadzkę, czajkami płynie na turskie brzegi, pali grody i zamki, łupi miasta, zabiera Turkom wielkie skarby – każdy z mołojców wraca z bogatą zdobyczą, ale cóż, kiedy zdobywszy sprzedać nie umie, a czasem i nie może. Jak zdobył gotowe pieniądze, aspry, lewki, piastry, czerwone złote, to rzecz łatwa; na pieniądze nie trzeba kupca. Ale jak z chadzki wrócą z drogim towarem – z złotogłowiem, kobiercami, koralami, naczyniem złotym i srebrnym, bo naród turski bogaty i w zbytkach się bardzo kocha – co z tym robić? Sprzedać. A komu Kozak sprzeda? Niechże sam próbuje pojsć z tym do miasta albo do dworu, między kupcy czy między pany – oho, dobrze się wybrał! To właśnie tak, jakby własną głowę na targ poniósł. A skąd to masz, a kędyś zrabował? a kogoś zabił? Odbiorą, kijem napędzą, i to najlepszy jeszcze koniec; rad bądź Bogu i dziękuj, że cię do tarasa nie dadzą, na męki nie wezmą, abyś prawdę wyśpiewał, a czasem i nie powiesz! A przecież to Kozak szablą zdobył, i na kim? Na psim synu, na poganinie, niewiernym wrogu Chrześcijaństwa; a przecież Kozak krwią swoją zapłacił, krzywdy się tylko pomścił, bo ano, ile to narodu, ile złota, ile srebra z cerkwi świętych nie biorą Turcy i Tatarzy? Czy to sprawiedliwość? Ale cóż robić, tak ono już jest. Tedy rad nierad Kozak musi sobie zachodzić z Żydem, z Ormianinem, z Wołochem, co na takie kupno łakomy, ale najczęściej z Żydem. Tak i z tym Kara-Mordachem bywało. Po każdej chadzce przyjeżdżał szelma do nas i kupował; za byle co kupował; dziesiątej, setnej części tego nie dał, co rzecz warta, a Kozak sprzedać musiał. Targował Mordach zdobycz mego ojca, ale ojciec niegłupi, wiedział, co za skarb rzadki ma, że i sto takich Żydów wytrząść, a tyle grosza nie wytrzesiesz. O jedno Mordachowi chodziło, jak diabłu o duszę, a tego dostać nie mógł. Zwabił ojca niby do bogatego kupca, co jakoby z Moskwy umyślnie przyjechał, przedni sługa carski. Ten pewno kupi, dla samego cara gosudara

do Kremla kupi. Mój ojciec znał z dawien dawna Mordacha, handlował z nim długie lata, uwierzył. Pojechał z Żydem na granicę wołoską, wpadł w zasadzkę, Mordach zabrał mu wszystko, co było przy nim, a samego Turkom wydał i jeszcze zapłacić sobie kazał, bo im puszkarza naraił, jakiego na świecie szukać... Ot, widzisz, tak to było.

Chwilę Semen milczał i chmurno przed siebie patrzył, jakby dumał nad tym, co się stało, i nad tym, co się jutro stać może, a nagle zawołał:

– Dosyć tego gadania; wiesz więcej, niż ci wiedzieć potrzeba, ale tego właśnie nie wiesz, po com cię tu wołał. Mnie czas w drogę. Przysięgłeś na Krzyż Święty i pod wielką klątwą, a kto takiej przysięgi nie dotrzyma, będzie od Trójcy Św. oddzielony i na miejsce Judasza powołany. Słuchajże teraz i uważaj! Widzisz tę rozpadlinę w skale?

– Widzę.

– Stań plecyma do skały, oprzyj się o nią, tak abyś sobą przykrył rozpadlinę.

Zrobiłem tak, jak Semen chciał.

– Patrz teraz naprzód, prosto przed siebie, jak strzelił; dziewięć kroków zrób, ale dużych, dobrze rozsadzaj nogi, boś ty mniejszy ode mnie.

Zrobiłem dziewięć kroków.

– Teraz klękniij na jedno kolano.

Ukląknę – a Semen przystąpił do mnie, przysiadł i ziemię koło mego kolana dobrze oglądnął.

– Tak dobrze, wraz dobrze, jak strzelił. Czy widzisz co na ziemi, znak jaki, ślad jaki?

– Nic takiego nie widzę – odpowiedziałem.

– Słuchajże! w tym miejscu, na którym jest teraz twoje kolano, zakopałem to, co mego ojca zawiodło w jasyr, co Mordacha wydało na moją zemstę, co już przedtem i mnogiej krwi i mnogiego nieszczęścia było przyczyną. Tego Persa, co to przyniósł był aż z indyjskiej ziemi, struł jeden Ormianin, tego Ormianina udusili trzej Greczyni w Białogrodzie, tych Greczynów utopić kazał basza jędropolski, tego baszę zabił ataman Łoboda, Łobodę, rozsiekali mołojcy, aż się to dostało memu ojcu, a ojciec usycha teraz w pogańskich łykach... Kiedybyś chciał wziąć, com zakopał, to i ciebie spotka nieszczęście i zguba!

– A ty tego nie weźmiesz? – pytam Semenę.

– Wezmę; na tom zakopał, abym wziął. Ale teraz brać się boję, bo mnie wywołali już wszędy dokoła za tego Mordacha jako zabójcę; muszę się dobrze pilnować, abym uszedł zdrowo. Nosić to przy sobie niebezpieczno; można zgubić, można przez złodzieja postradać. Ale jak z wywiadów powrócę i będę już na pewno wiedział, gdzie mój ojciec, w jakim zamku, u jakiego baszy, przyjdę tu albo drugiego do ciebie przyszlę, a ty temu wiernikowi, co przyjdzie w moim imieniu, pokażesz miejsce, gdzie ma kopać.

– A jakoż ja go poznam i jako mu dam wiarę? – pytam ja na to.

– Otóż tak; teraz mi się podobasz, mołojczyku! – zawołał Semen. – Czekałem tylko, czy się zapytasz; sława Bogu, żeś się zapytał! Bo teraz wiem, że masz rozum. Słuchaj i spamiętaj: Jak kto przyjdzie do ciebie, czy to będzie stary, czy młody; czy chłop, czy baba; czy sługa, czy pan; czy czerniec, czy żołnierz; czy w łachmanach i z torbą dziadowską, czy w sajecie i przy bogatej szabli – wszystko to jedno – jeżeli ktoś przyjdzie do ciebie i uderzy cię dłonią po lewym ramieniu i powie te słowa:

*Oko Proroku
Synopa Archioka*

to ty mu odpowiesz: *Musztuľuk!* On ci na to ma powiedzieć: «Bedryszko cię pozdrawia» – a wtedy masz go zaprowadzić na tę polanę, pokazać mu to miejsce, które znasz; niech wykopie i idzie z Bogiem, a ty masz milczeć o tym jako grób! Powtórz te słowa!

– *Oko Proroka, Synopa Archioka. Musztuluk!* – powtórzyłem, i to kilkanaście razy, póki Semen nie uwierzył, że nie zapomnę.

– A teraz w drogę! – zawołał Semen i ruszyliśmy nazad tym samym szlakiem i znowu po drodze kładł mi w pamięć wszystko, po czym miałem się rozeznąć, aby nie zbłądzić i trafić do onej skały na polanie.

Kiedy już stanęliśmy w czystym polu, Semen uściskał mnie, pocałował w oba policzki i rzekł:

– Zostań zdrow, Hanusz, pomagaj ci Bóg! A jak się zdarzy szczęśliwie, wrócę i wezmę cię z sobą na Sicz, na porogi, i nie będziesz się nazywał Hanusz, ale Iwaszko, i będziesz z nami hulał i na Turków chodził! Boś ty lepszy chłopak, wart być Kozakami Zostań zdrow!

Jam go z rzewnością serca także jakby brata ucałował i pytam:

– A koń kędy?

– A kędyżby był? Jest, czeka na mnie, zaraz on tu będzie! – i włożywszy palec w usta, świsnął dwa razy krótko a przeraźliwie.

Za małą chwilę usłyszeliśmy kopyta w polu i koń nadbieżał do swego pana, rżąc radośnie. Semen skoczył w siodło i jak wiatr popędził przez pola ku drodze.

Smutny wracałem do chaty, bom stracił przyjaciela, a w duszy czułem jakoby wielką ciężkość, bo ta cała rzecz tajemna, którą mi zwierzył Semen i na którą mi przysiąc kazał, tak mnie ugniatała, jakoby młyński kamień. Robiło mi się straszno, że teraz powiernikiem wielkiego sekretu, którego sam nie znam, i jakoby stróżem czegoś, czegom nie widział, a co musi być i wielkim skarbem, i przekłętą jakąś rzeczą, skoro tyle krwi i nieszczęścia na tym było. Wchodzę na podwórze i widzę, matka stoi u drzwi i woła:

– Hanuszek, tyżes to? Kędyż ty biegał po nocy?

Musiałem matce opowiedzieć, że mnie Semen wywołał, i że w cichości się wymknąłem, nie chcąc jej budzić, że Semen chciał się tylko ze mną pożegnać i że mu wyniosłem pistolety.

– A czemuż cię taki czas nie było – rzecze matka – zbudziłam się za szelestem i patrzę, a ciebie nie ma. Coś ty tak długo robił z Kozakiem?

– Odprowadziłem go do konia, którego zostawił był pod lasem.

– I więcej nic? – pyta matka.

– Więcej nic.

Dobrze że to noc była, bo inaczej matka byłaby widziała, jak oczy spuściłem ku ziemi i jak mi rumieniec twarz oblał. Nie uczył mnie nikt kłamać, jakoż i kłamać nie umiałem, ale teraz skłamałem po raz pierwszy w życiu, i to przed własną rodzicielką. Markotność wielka mnie zdjęła i skrucha; było mi tak, jak żeby doznał nieszczęścia. Do świtu jeszcze było dość daleko – położyłem się i usnąłem. Już słońko wysoko stało na niebie, kiedy się obudziłem, i zdało mi się jakiś czas, że to wszystko, co się stało, tylko snem było i nocną marą. Zacząłem się prędko zbierać, kiedy wchodzi matka i rzecze:

– Słuchaj no, Hanuszk, ludzie we wsi głoszą nowinę, że ten Żyd jeszcze żyje i że to jest bardzo znaczny kupiec, sługa i wiernik różnych książąt i wojewodów, którzy się o niego wzmą. Semen już wszędy aż po Lwów i Przemyśl wywołano, z zamku samborskiego wysłano pogoń w różne strony, aż ku granicy węgierskiej: hajduków, smolaków, żołnierzy. Na głowę Semen nałożono 1000 złotych; weźmie ten, kto żywego lub zabitego przystawi. Pogoniło wielu żołnierzy i chłopów na ochotnika imać złoczyńcę, nawet podstarości z hajdukiem Kajdaszem wyjechali o świcie na pościg.

I mówiąc to patrzyła matka na mnie przenikliwym i przestraszonym wzrokiem, a ja ukląknąłem niby do mówienia rannego pacierza, ale słowa utykały mi w gardle, a serce mi kołatało, jak gdyby mi kto młotem tłukł pod żebrami.

IV

IDEĘ W ŚWIAT

Nie darmo to mówi przysłowie, że klin klinem się wybija. Wlazła mi w głowę prawdziwym klinem historia Semena i ta jego tajna rzecz zakopana w lesie, której ja miałem być niemy stróżem i wiernikiem, i o niczym już myśleć nie mogłem, jeno o tym i o tym bezustawnie. Ale znalazł się rychło klin drugi, a taki ostry i boleśny, że nie tylko jakoby rozłupał mi głowę, ale i serce przewiercił głęboko jak nóż zbójceki. Mój ojciec miał powrócić z owej tureckiej furmanki najdalej w sierpniu, a tymczasem owo i wrzesień końca dobiegał, a ojca jak nie było, tak nie było.

Strach o ojca i frasunek wielki nastał teraz w naszej chacie – matka płakała dniem i nocą, a ja w żałości mojej ani jej pocieszyć, ani sobie dać otuchy nie umiałem, zaś ludzie we wsi miasto nam dodać serca i nadziei – to jeno się litowali nad matką, nawiedzali ją jakoby po nieboszczyku i ciągle prawili, jako to z turskiej ziemi teraz mało kto wraca, bo tam zawsze srogie rozruchy i krwi ludzkiej przelewanie, i że z wolą Bożą trzeba się pogodzić i na msze święte dawać za duszę ojca, «bo – mówią matce – gdyby wasz żył, toby znać o sobie dał nawet z turskiego więzienia, a tak pewno bez księdza między poganami marnie zginął». Na domiar złego jedyny nasz krewny i opiekun, wuj kantor, umarł z gorączki; zostaliśmy teraz sieroty.

Chodziliśmy z matką do Sambora, do pana Zybulta, kupca, co trzymał skład węgierskiego wina i miał handle z lwowskimi Ormiany, prosimy go, aby pisał, czyli czego nie wiedzą o tej karawanie, z którą ojciec jechał; on też pisał zaraz, ale odpisano, że tam także między tymi Ormiany, co mieli albo krewnych, albo towar w onej karawanie, wielka jest trwoga i umartwienie, bo żadnej wieści nie mają.

Wtedy to, w tym ciężkim czasie, przeświadczyłem się dobrze, że nad samą srogość ludzkiego nieszczęścia gorsza bywa ciągła niepewność, kiedy to dusza człowieka, jakoby zawieszona między żałością a nadzieją, szarpie się w udręczeniu, a myśli biją się z sobą, a która z nich najsmutniejsza, ta zawsze najmocniejsza. A mnie i mojej matce tak było, jak gdyby ojciec co dzień w naszych oczach umierał, a co dzień inną śmiercią: to od powietrza, to od dzikiego zwierza pustyni, to od ręki zbójcekiej; i co dzień znowu żyw wracał: to jako człek zdrow i wesół, to jako kaleka i żebrak, to jako znędzniały jeniec, wykupiony z rąk pogańskich. I tak w tym udręczeniu czas mijał, a jak gdyby tego nieszczęścia było za mało, przyszło drugie, z woli i z ręki złego człowieka.

Już swego czasu mówiłem, jako to było z naszym sołtystwem czy też wolnictwem i jako się ojciec bronił od napaści ludzkiej. Na św. Michał miał zapłacić podstarościemu 100 złotych i już go mieli zaniechać i zostawić spokojnie jak na dziedzictwie. Termin dawno minął, ojciec przepadł bez śladu, o owej confirmacji, którą król obiecał w Janowie, ani słychać było – owo zguba nasza ostateczna. Kazano nam wynosić się z naszej własnej majątności, gwałtem nas wyrzucono. Matka się broniła, wołała pomocy boskiej i ludzkiej, biegała, biedna, na zamek samborski, błagała, na progu się kładła, wzywała pomsty niebieskiej na krzywdzicieli

sierót, na tych zbójów nieludzkich i wydzierców cudzej pracy, że lepszych po szubienicach wieszają – nie pomogło nic, tak od razu, za jednym rozmachem, z dziś na jutro, w dziady nas obrócono. Jam już był otrok duży i gdyby po mojej woli szło, byłbym siekierą ojcowskiego chleba bronił, z łuku Semenowego strzelał, podstarościego i hajduka Kajdasza pewno zabił i sam się zabić dał – ale matka broniła mi tego: «nie pomożesz – mówi – a siebie i mnie zgubisz».

Tak to znieść musieliśmy. Ale mnie się zdało, że jadawitą żmiję połknął i pod sercem ją jeszcze żywą noszę, bo i serce, i duszę miałem zatrute; na niebom patrzył, czy się nie roze-
wrze i czy ognisty piorun z niego nie padnie na głowy tych zbójów; zrozumieć nie mogłem, że słońko nie gaśnie nad takim światem, na którym sprawiedliwości nie ma i pomsty na zło-
czyńców.

A Bóg gdzie? a król gdzie? Bóg jest wiekuisty i tajne są Jego wyroki, sprawiedliwość Jego może być nie z tego świata, Jego pomsta znajdzie grzesznika i poza ziemskim żywotem; Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy. Ale król gdzie? Jego majestat jest z tego świata, jego moc jest ziemską, on taki śmiertelny, jako i ja, chłopiec mizerny – on powinien być rychliwy w sprawiedliwości swojej, bo tylko tu na ziemi sądzić i karać może, a po śmierci sam sądzon i karan będzie.

Kiedy ojciec mój opowiadał, jako mu król Zygmunt w Janowie obiecał konfirmację sołt-
stwa i jako go swoim królewskim furmanem – *auriga regius* – mianował, to ja był pewny, że już nie ma takiej mocy ludzkiej na świecie, co by na nasze dziedzictwo godzić śmiała. A tu ani hetman żaden, ani wojewoda, ale podstarości i sługa hajduk okazali tego!

Gdybym był królem, tobym jeździł po całej ziemi polskiej, a miał przy sobie wielki hufiec zbrojny, tysiąc takich husarzy, jakich w Samborze widziałem, w stal zakutych, z szumnymi skrzydłami z piór żurawich na barku, że każdy z nich wygląda jak św. Michał Archanioł z ołtarza naszego kościółka, i kazałbym ścinać głowy wszystkim, co mordują sprawiedliwość, tak aby i najmocniejszy truchlał, a radowała się cnota, i każdy ubogi człek bezpiecznie poży-
wiał się swoją pracą.

Buntowała się we mnie dusza, żałowałem i wstyd mi było, że nie taki, jak Kozak Semen, co się niczego nie bał i nikogo, ani popa, ani starosty, ani króla, i mawiał, że najlepsze prawo pisze szabla, a kula w łeb to lepsza pieczęć niż pana kanclerzowa, i że lichy to człek, co się o swoją krzywdę nie weźmie. Ale pamiętam także, jako Semen często dumkę jedną śpiewał, a zawsze się w niej powtarzały słowa:

*Terpyty, terpyty,
Z Bohom sia ne byty!*

Ot, co! Cierpieć, cierpieć, a z Bogiem się nie bić! A ja się będę z Bogiem biły A ja się bę-
dę z królem bił? Poczekam, urosnę, nabiorę mocy i rozumu, a wtedy bić się będę, ale ze zły-
mi ludźmi tylko, z podstarościm i z Kajdaszem, a może Bóg da, że się na nich krzywdy po-
mszczę. A teraz to trzeba bić się z biedą. I tak mi się zdało, jakoby wśród tego nieszczęścia
stał się naraz dościgniętym człowiekiem, a co było we mnie z dziecka, to opadło gdyby kwiecie
z jabłoni.

Miły Boże, żeby to wszystko tak rosło, bez słońca, bez rosy, jak bieda rośnie! Ledwie się
przez okienko wciśnie, a już ona gospodyni jest w chacie, wszędy wlezie, wszędy zagładnie,
z każdego kąta jeno długie zęby do człeka szczyrzy, tak jakoby mówiła: jak zjem wszystko,
co masz, to i ciebie zjem! Słońca do chaty nie puści, wesele z niej wygania, za plecyma ci
siedzi, ognisko studzi, w nocy sen odbiera, a jak śpisz, to i we śnie zmorą ci dławi, z łokci
dziurawych wylazi, z oczu ci świeci, z jednej miski z tobą jada i twoim głodem się pasie,
coraz mocniejsza, coraz czarniejsza.